№ 9.

Warszawa

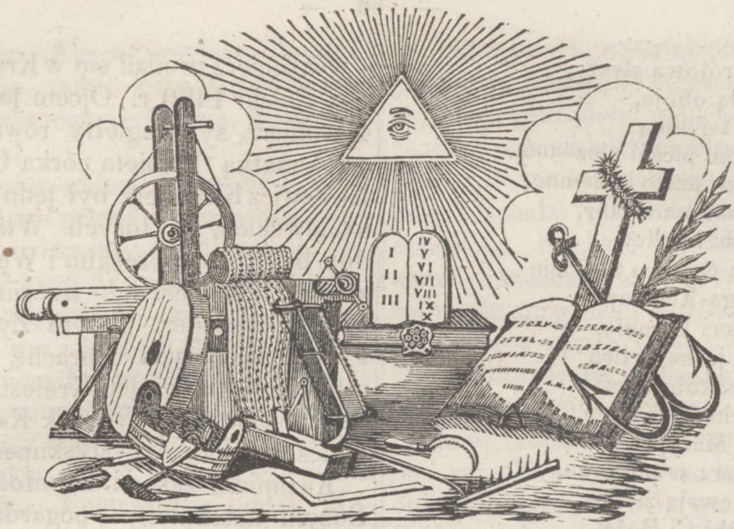
Dnia 19 Lutego

(2 Marca)

1856.

Niedziela

4 POSTU.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Daj, prosimy Cię wszechmogący Boże, aby nas Twa łaska pocieszyła w tych utrapieniach, na któreśmy przez nasze grzechy zasłużyli. (Modlitwa Kościelna na Niedzielę 4tą Postu).

Swięty Kazimierz.

I.

Z berłem w prawicy, a w złotéj koronie
Zasiadł król Kaźmierz na Jagiełłów tronie,
Przy nim małżonka w królewskiéj purpurze,
W około tronu złotego, podnóże
Nadobnym wieńcem okrążyły dziatki:
Maleńki Zygmunt tuli się do matki,
A Aleksander i Jan Albrecht młody
Ozdobni krasą rozkwitłéj urody,
W dzielnéj postawie, ze swobodą w oku,
Stoją milcząco przy ojcowskim boku.
Za nimi młodzian z pochyloną głową
Oparł swą rękę o poręcz tronową,
Włos mu w pierścieniach na ramiona spada,
Dziwnie twarz jego żałosna i blada,
A pomrok smutku wydatny na czole
Ukrytą w duszy zwiastuje niedolę.
Czyż królewiczu! tobie łzy przystoją,
Gdy Bóg rodzinę umiłował twoją?
Twój wiekopomny dziad, wielki Jagiełło
Dokonał w Litwie nawrócenia dzieło:
Stryj twój Władysław siejąc Boże ziarno,
Krew z młodéj piersi wytoczył pod Warną.
Gdy ród twój z Bogiem trwa w świętem przymierzu,
Czemuż ty płaczesz młody Kazimierzu?
Płacze królewicz—bo w starym Krakowie
Z za gór Węgierscy stanęli panowie,
I teraz oto schyleni przed tronem,
Sławiąc majestat potrójnym pokłonem,
Słynną młodziana zniewoleni cnotą,
Zdają mu berło i koronę złotą.
Lecz królewicza blask tronu nie mami;
Wielkość on swoję opłakuje łzami:
Bo młodzian w ducha przeczuwa pokorze,
Że ziemska chwała pozbawić go może
Téj promienistéj, a cudnéj korony,
Jakiéj nie znają dotąd Jagiellony.

II.

Noc na Wawelu, w staréj katedrze
Blado kaganiec oświeca mury,
Czasem księżyca promień się przedrze
Przez rozpostarte nad ziemią chmury.
Tylko niekiedy w ciszy grobowéj
Głucho godzinę zegar uderzy,
Albo w dzwonnicy zakwilą sowy,
Albo zakraczą krucy na wieży.
Czyż to aniołów przeczyste pienia
Hymnem ku Maryi zgodnie zabrzmiały?
Aż drżą kościoła ciemne sklepienia,
Gdy płynie w niebo cudna pieśń chwały.
I hymn przenika w głębokiéj ciszy
Królewskich komnat bliskie podwoje,

Król je zasłyszał — królowa słyszy,
W kościoła progi idą oboje,
Idą przejęci trwogą tajemną
Za cudnym dźwiękiem pieśni nieznanéj.
W świętym przybytku pusto i ciemno,
Słabo kaganiec błyska na ściany,
A na uboczu, w głębi kaplicy,
Kędy z Dzieciątkiem cudném na łonie
Anielska postać Boga-Rodzicy
W djamentowéj świeci koronie,
Klęczy królewicz: z jasnego lica
Krąg promienisty wokoło bije;
Wyższa mu siła ducha zachwyca,
Swiętemi usty sławi Maryję.
Rodzice padli na twarz w pokorze,
I łez strumieniem zlewają ziemię.
Dziękiż, wołają, dzięki Ci Boże!
Żeś umiłował Jagiełłów plemie.
A gdy umilkły pienia młodziana,
Król się odezwie drżąco i zcicha:
„Idź miły synu za głosem Pana,
„Nie tobie ziemska przystała pycha.
„Niech przeczystego twojego czoła
„Złota korona próżno nie gniecie;
„Do swych ołtarzy Pan ciebie woła,
„Idź Kazimierzu — tyś Boże dziecię!
Młodzian się w Bogu święcie weseli,
Brzmią znowu pieśnią przybytku ściany,
I na podzięki wtórzą anieli
Hymn ku Dziewicy Niepokalanéj.

III.

Niedługo świętym gościć na ziemi!
Rychło Kaźmierza Bóg wziął do siebie,
Łzami go naród płacze rzewnemi,
Lecz się anieli radują w niebie;
I w lilijowym wieńcu na czole,
Wpośród Wojciecha i Stanisława,
W polskich patronów przesławnem kole,
Na straży młody Kazimierz stawa.
Święty! co wiernie z niebem w przymierzu
Żywot przeżyłeś w dni twoich dobie,
Czuwaj nad nami o! Kazimierzu,
Uświęć nam serca, wiedź nas ku sobie,
Błyśnij nam światłem Twojéj pochodni;
A gdy nam w znoju siły nie starczą,
Spraw, byśmy Twojéj opieki godni
Doszli zbawienia pod Twoją tarczą.

Żywot ś. Kazimierza królewicza polskiego.

We wtorek przyszły t. j. dnia 4 marca przypada uroczystość S. Kazimierza królewicza polskiego, którego żywot wedle słów X. Piotra Skargi opowiemy.

Kazimierz urodził się w Krakowie, dawnéj stolicy Polski 1460 r. Ojcem jego był Król Polski Kazimierz, syn Jagiełły również Króla Polskiego, a matką Elżbieta córka Cesarza Olbrachta. Królewicz Kazimierz był jednym z sześciu synów królewskich, z których Władysław pierworodny był Królem Czeskim i Węgierskim, — drugim z kolei Kazimierz ś., — trzecim Olbracht, czwartym Aleksander, piątym Zygmunt, a ostatnim Fryderyk. Z tych Olbracht, Aleksander i Zygmunt kolejno po ojcu Królestwem Polskiém rządzili; — czwarty Fryderyk Kardynał, na stolicy Gnieźnieńskiéj Arcy-Biskupem siedział.

Kazimierz zaś od najmłodszych lat Duchem Bożym natchniony—pogardził godnością ziemską, założył fundament w bojaźni Bożéj, aby (jak mówi pismo święte) w niéj chodził, i myśli wszystkie swoje w Bogu i Królestwie niebieskiém fundował. W pilném i ostrożném ćwiczeniu do pobożności i mądrości chrześcijańskiéj, chował się on z inną bracią swoją pod sławnym nauczycielem Janem Długoszem, kanonikiem Krakowskim, który pisał dzieje czyli historyę Polską; i z nauk jego jako z czystego źródła napojony, rósł w cnoty, jako w kwiaty bujna i dobra ziemia.

Na modlitwie we dnie i w nocy więcéj czasu trawił, niż na innych zabawach świeckich, i żadnemi dworskiemi rozrywkami przeszkadzać sobie, i ustawać w niéj nie dopuszczał. W nocy porywał się i wychodził do kościołów, które, gdy zamknione znalazł, u drzwi się Panu Bogu upokarzał—często bowiem straż w nocy znajdowała go leżącego na twarz przed podwojami kościelnemi. Miał zaś szczególniejsze upodobanie w rozmyślaniu życia Najświętszéj Maryi Panny, a z gorącego ku Niéj nabożeństwa, wiersze łacińskie na Jéj cześć układał.

A iż czystość serdeczną przedsiębrał, przeto się też i w czystości cielesnéj chował—w niéj aż do śmierci przetrwał. Krócił też i umartwiał ciało włosiennicą grubą, postami, odstępowaniem potraw królewskich, bezsennością i modlitwą długą a częstą. Cisnął się do rozmów ludzi mądrych, bogobojnych i starych. Gdy sługa lub pan który co nieprzystojnego mówił, — wnet to Kazimierz ganił, na co innego rzecz zwracał, i jawnie upominał obrażającego uszy.

Gdy pierworodny królewicz Władysław na tronie Węgierskim osiadł, wszystkich oczy i serca zwróciły się na Kazimierza, jako następcę po

ojcu królu Polskim. Ale on pogardził darami i blaskiem świata,—a nawet korony królewskiéj się wyrzekł, dla lepszego królestwa, które Bóg cnotliwym zgotował.

Żadnych uczynków miłosiernych nie opuścił, wdowom i sierotom był prawdziwą opatrznością.

Był urody pięknéj i twarzy ujmującéj, ale słabego zdrowia. Gdy już w Wilnie na Litwie ostatnia niemoc na niego upadła, gotował się on gorąco na śmierć, a któréj mu Pan Bóg czas objawił—z wielkiem pragnieniem do Chrystusa się kwapił, a opatrzony śś. Sakramentami, opowiedziawszy dzień śmierci swojéj, z krucyfixem w ręku, wspominając mękę Pańską, dnia 4 marca 1484 roku, mając lat 24 wieku, Bogu ducha oddał. Kazimierz za czasów papieża Leona X, kanonizowany w r. 1521, w poczet świętych policzony został. A papież Klemens VIII, który w Polsce był posłem, kazał święto jego całéj koronie Polskiéj, i państwom do niéj należącym, święcić. Za staraniem Benedykta Wojny Biskupa Wileńskiego, wniesioną jest do Wilna chorągiew ś. Kazimierza z Rzymu, z błogosławieństwem owego papieża Klemensa przysłana.

W kościele XX. Kapucynów w Warszawie, przed ołtarzem Matki Boskiéj, trzecim na lewo od głównego wejścia, na jednéj ze ścian jest obraz ś. Kazimierza królewicza Polskiego. Wyobraża on młodzieńca pięknéj urody, trzymającego krzyż cierpień w jednéj, a palmę zwycięztwa nad światem w drugiéj ręce. Oczy wzniósł w niebo, zkąd światłość pada na jego czyste i natchnione czoło, —zachwycony w niebie tylko, u Boga szuka swego królestwa—nie widzi korony ziemskiéj, i oznak godności monarszych, które obok niego leżą. O! idźmy się patrzeć na ten święty wizerunek, i uczmy się z niego pokory, wzgardy świata, czystości i innych cnót pięknych.

Stolarz z Dunaju.

—

Cnota jest obowiązkiem i najpiękniejszą każdego ozdobą: biedny zyskuje przez nią szacunek u świata i współczucie, bogacz cnotliwy cześć sobie najwyższą zjednywa. Dobry uczynek nie pozostanie bez nagrody, równie jak złe nigdy się nie ukryje. „Bóg niepospieszliwy, ale sprawiedliwy" prędzéj czy późniéj, odda każdemu, na co zasłużył. Wiem o pewnym cnotliwym postępku ubogiego człowieka i ten wam opowiem.

W Warszawie na Dunaju mieszkał przed dwoma laty stolarz, nazwiskiem Jedliński, człowiek poczciwy, pracowity i trzeźwy. Od świtu do ciemnéj nocy, pochylony nad heblem, w pocie czoła zarabiał na chléb dla żony i pięciorga dziatek. Pomagał mu tylko jeden, i to nie duży chłopiec; czeladzi nie miał ani do czego, ani za co utrzymać. Kochał go widać Pan Bóg, bo ciężkiemi nawiedzał krzyżykami, a wierzajcie mi, że w nieszczęściach dusza człowieka czyści się, jak złoto w ogniu. Otoż i teraz dużo razem złego zwaliło się na biedaka, właśnie wtedy, gdy chleb coraz był droższy, a o robotę coraz to trudniéj, żona mu zachorowała na niebezpieczną i zaraźliwą gorączkę, niedostatek w domu i obawa o dzieci, zmusiły go oddać ją do szpitala. Ze łzą w oku spełnił ten bolesny dla duszy, lecz konieczny obowiązek. W kilka dni potem wszystkie naraz dzieci dostały szkarlatyny.—Nieszczęśliwy stolarz sześć razy ciężko, dotkliwie w serce ugodzony, w gorącéj modlitwie żebrał pomocy u nieba, nie mogąc sam żadnéj na to dać rady. Jak na nieszczęście, roboty nie było; ostatni rubel zmieniony rozszedł się prędko na lekarstwa i pożywienie. Przygnieciony ostatnią potrzebą Jedliński, odprawił chłopca, a warsztaty, naczynia i zapas drzewa jaki miał, sprzedawszy, ratował żonę i dzieci. Bóg pozwolił, że po niejakim czasie wróciły do zdrowia; lecz mały zapasik pieniędzy, zebrany ze sprzedaży rzeczy, już się wyczerpnął. Z majstra chciał zejść na czeladnika, szukał zatrudnienia, ale go nigdzie dostać nie mógł. Był właśnie piątek, dzień targu na Pradze—tam, pomyślał, może spotkam jakiego znajomego przy kupnie desek, może dostanę robotę. Poszedł więc, smutnemi zajęty myślami o żonie i dziatkach; rozpacz go ogarniała na wspomnienie blizkiego głodu. Wtem widzi zdaleka, że idącemu przed nim otyłemu handlarzowi bydła wypadł z kieszeni pugilares, gdy z niéj wydobywał chustkę i tabakierkę; nikogo jakoś nie było w tem miejscu. Handlarz wszedł do izby szynkownéj; nasz stolarz podniósł zgubę, obejrzał się, że go nikt nie widzi, pospiesznym więc krokiem zdążał ku Warszawie. Uwiedziony złą myślą zatrzymania cudzéj własności, bez tchu prawie przebiegł długi most, i wpadł do sieni pierwszego domu na Bednarskiéj ulicy; ze drżeniem otwiera pugilares, i znajduje w nim dużo, o! bardzo dużo pieniędzy. Stolarz wahał się przez chwilę: stanęła mu przed oczyma biedna jego izba na Dunaju z ogołoconemi ścianami,

wspomniał na żonę niemogącą jeszcze sił po słabości odzyskać, na dzieci głodne i nagie, a nieprzyjaciel duszy człowieka szepnął mu w ucho: „Za te pieniądze możesz mieć wszystko: i życie wygodne dla żony, i sukienki dla dzieci i utracone warsztaty z naczyniami odzyskasz, założysz dużą fabrykę, dorobisz się majątku, będziesz szczęśliwy, swobodny; Bóg ci widocznie zesłał ten majątek: ujął temu który ma zbyt wiele, a dał tobie biednemu.“ Lecz anioł opiekuńczy tego poczciwego dotąd człowieka, w porę przybył mu z pomocą, nie dozwolił upaść w pokusie. Zapłakał stolarz, ale ze stałością duszy powiedział sam do siebie: prawda, że bieda u mnie wielka, ale czyżby mi na dobre wyszły cudze, ba! nawet po prostu skradzione pieniądze? Zgryzoty sumienia spaćby mi nie dały spokojnie. Bóg jest miłosierny: On ptaszynom bezpiórym pożywienie obmyśla, On kwiaty polne w cudne stroi sukienki, nie zapomni i o mojéj nędzy, nie dopuści, aby moje dzieci z głodu pomarły albo zmarzły bez odzienia. Z mocném przeto postanowieniem wrócił co żywo na Pragę, i wszedł prosto do szynku, gdzie widział poprzednio wstępującego handlarza. Tłum ludzi napełniał izbę, każdy głośno mówił o zgubionym pugilaresie; poszkodowany znaczną przyrzekał nagrodę za oddanie onego, lecz nikt nie widział, nikt nie znalazł zguby. Wtém nasz stolarz przecisnąwszy się do stolika, przy którym siedział handlarz bydła, rzekł: ja mam pana pieniądze, i zwracam ci je, żadnego nie żądając wynagrodzenia; jeśli łaska, daj mi pan parę złotych, aby na chleb dla biednych dzieci, dopóki nie dostanę roboty.— A któż wasan jesteś? spytał rubasznie handlarz, uradowany odzyskaniem tak znacznéj straty.

— Jestem stolarz, nazywam się Jedliński.— A mieszkasz na Dunaju? przerwał mu handlarz, czerwieniąc się cały, łza niecznacznie błysnęła w jego oku. Dobrze mój przyjacielu! dam ci chętnie na chleb dla twéj rodziny, ale ją wprzód sam muszę zobaczyć; prowadź mnie więc do twego domu.—Wyszli, zdziwiony nieco stolarz szedł milczący i smutny, a wesoły jego towarzysz przez całą drogę zarzucał go pytaniami, dotyczącemi jego położenia i okoliczności, które go do takiéj doprowadziły nędzy.

Gdy przybyli na Dunaj do skromnego mieszkania stolarza, handlarz stanąwszy na środku izby, tak się odezwał, zdejmując czapkę z głowy: „Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus! pokój temu domowi! Witajcie mili moi! Bóg mi dał dożyć szczęśliwéj godziny, bo i brata znalazłem, i znalazłem go uczciwym człowiekiem. Jak się masz drogi Józefie! nie poznałeś mnie widzę, swego brata Walentego. Odebrawszy przed miesiącem twoje pisanie, rzekłem do mojéj Małgosi: Słuchaj matko, mój brat jest w potrzebie, nam Bóg dał dosyć, trzeba się z nim podzielić. W przyszłym tygodniu popędzę woły do Warszawy, już tam nie byłem przeszło 12 lat, zobaczę Józefa, i dam mu, co będę mógł. Naradziwszy się tedy z moją kobietą, włożyłem dla ciebie 6,000 złotych w ten oto pugilares, i z partyą bydła, w Imię Boże puściłem się w drogę. Wczoraj przybyłem na Pragę, dziś woły sprzedałem, a pieniądze za nie mam na sobie w trzosie. Miałem właśnie iść do Warszawy, aby cię wynaleźć, gdyśmy się tak niespodzianie zetknęli. Te sześć tysięcy były i tak dla ciebie przeznaczone, dziś ci je daję z podwójną radością. Pójdź Józiu! pójdź, niech cię ucałuję! ty matko, wy dzieciaki padnijcie do nóg waszemu poczciwemu Ojcu! A teraz klęknijmy wszyscy, aby podziękować Bogu, że nam się w życiu i zdrowiu oglądać pozwolił, że okazuje dla naszéj rodziny tyle cudów świętéj swéj Opatrzności.

Żółw.

Ciekawa to bardzo ta niepokaźna istota, o któréj mówiąc prawdę, możebyśmy i niewiele powiedzieć mogli, gdybyśmy chcieli o tych tylko wspomnieć, które żyją w naszych rzekach i stawach, a z których po zabiciu, oczyszczone wierzchnie skorupy przechodzą do rąk siadającego pod kościołem na odpuście żebraka, dla zbierania w nie groszy, które litościwa ręka mu rzuca, celem odmówienia zdrowaśki za duszę ojca, matki albo dziatek. Ale są wody, gdzie te istoty dochodzą tak olbrzymiéj wielkości, że człowiek mimowolnie zdumiewa się nad niemi, podziwiając, jak we wszystkiem, i w tem dzieło stworzenia, a w korzyściach, jakie ludziom przynoszą, dzieło Opatrzności.

Wodami temi są wielkie morza, zwane oceanami, a sama nazwa żyjących w nich żółwi, jak np. jednego z nich gatunku, który zwą *żółwiem olbrzymim*, dostatecznie o jego przekonywa wielkości. Oprócz niego są jeszcze i inne gatunki, jak np. *jastrzębiec*, *maczuga*, *puzdro* i t. d., a

wszystkie także niemałych rozmiarów, wszystkie niepospolitéj bryłowatości.

Kiedy słońce zachodzi i ciemności nocy ogarną ziemię, wówczas to cała rzesza powietrzno-nocna, po całodziennéj ciszy i wypoczynku, daje znak życia i wyprawia właściwe każdemu z nich sztuki. Skrzydlaty niedoperz rozpina się i zawiesza nad powierzchnią morza, pelikany suną w zarośnięte puszcze, ociężała sowa błąka się tu i owdzie, dopóki nie dopadnie okrętowych żagli, aby na nich przysiąść, a zalegające dno morskie, żółwie, dźwigają się pod wodą, aby wytknąć na powietrze łby swoje. A każdy z nich płynie tak cicho i tak spokojnie, że żadna zmarszczka na powierzchni fali, ruchu jego nie zdradzi; a tak ostrożnie, jakby się na jakieś nocne szykował wyprawy.

Trzeba bowiem wam wiedzieć, że nie sama ciekawość powoduje niemi do wytknięcia na świat Boży głowy, ale dźwigają się one, aby wylądować, a wylądowawszy, złożyć w piasku nad morzem swe jaja, i powierzyć ich wyklucie się słońcu, ukrywając te zarodki przyszłego pokolenia swego przed bacznem okiem człowieka, na którego usługi Opatrzność przeznaczyła zwierzęta, ptastwo, płazy, gady i ryby, a z czego też człowiek wszelkiemi środkami stara się korzystać.

Owoż, gdy już księżyc wejdzie na niebo, i przejrzy się jak w zwierciadle, w głębinach wody, i oświeci lasy, góry i płaszczyzny, wtedy żółw ląduje, i wlecze swą ciężką i olbrzymią skorupę aż do owego piaszczystego miejsca, w którém najbezpieczniéj przed okiem ludzkiem ukryć może swe skarby. Z dziwną zaiste troskliwością rozgarnia piasek za pomocą łap przednich, dla urządzenia gniazda, w którem złożyć ma jaja, i w dziesięć minut gotową jest jama do dwóch stóp głęboka, w któréj od 150 do 350 sztuk składa, a zabawiwszy ze 20 minut, zagarnia ją piaskiem tak gładko i zręcznie, że ani śladu niewidać. Resztę zostawia promieniom dobroczynnego słońca, i wraca raźniéj i śmieléj, choć rozumie się, zawsze żółwim krokiem, który od nadzwyczajnéj powolności swojéj wszedł już w przysłowie powszechne.

Nim jednak na ląd wylezie, przysłuchuje się poprzednio z wody z nadzwyczajną bacznością, a usłyszawszy jaki szmer lub szelest, wydaje głos przeraźliwy, podobny raczéj do huku, dla odstraszenia szkódników. I rzeczywiście wszystko, co tylko nieoswojone z tym krzykiem, kryje się i ucieka w popłochu, żółw zaś zanurza się w wodzie, a po niejakim czasie wypłynąwszy na wierzch, i nie widząc niebezpieczeństwa, przystępuje do wylądowania.

Przy składaniu jaj, żółw tak jest zajęty, że zdybany na uczynku, niczem nie da odwrócić swéj uwagi od téj skrzętnéj czynności. Do tak zwanego *olbrzyma* np. można się przybliżyć, wleźć mu na grzbiet, skakać na nim, a ten ani się ruszy, lecz gdy jaja już złoży, biada wtedy zuchwałemu śmiałkowi, gdyż rzuca się gwałtownie z takiem natężeniem, że wysadziwszy siedzącego na nim w powietrze, może go łatwo narazić na szwank, a często na potłuczenie i złamanie ręki lub nogi.

Lecz nawzajem ażeby go zwalczyć, dosyć jest tylko przewrócić go do góry nogami. Żółw bowiem wznak położony, już nie umie sobie poradzić. Wiedzą też o tem mieszkańcy nadbrzeżni, dlatego śmiało przystępują do tego, a to następującym sposobem. Najbarczystszy z nich zachodzi żółwiowi drogę, i nachylony klęczkiem podsuwa się tak, aby służył plecami swemi za podstawę jednéj łapie jego; gdy zaś żółw stąpi, wtedy wypręża się z całą siłą, a ten straciwszy równowagę przewraca się do góry. Sposób ten jednakże udaje się wtedy tylko, jeżeli żółw nie bardzo wielki; w przeciwnym zaś razie, trzeba używać do tego drągów i hakownicy.

Lecz daleko ciekawszy jest połów żółwia w wodzie, bo tam będąc w swoim żywiole, umie się bronić i walczyć, tak, że najzręczniejsi, z trudnością stają z nim w zapasy. Łowy zaś te są bardzo rozmaite. Niektórzy żółwiarze używają do tego, na mielszych zwłaszcza wodach, sieci; środek ten jeden z najprostszych, gdyż żółw zaplątawszy się w matni, musi uledz koniecznie. Inni znowu wychodzą na połów z oszczepem, a upatrzywszy miejsce, gdzie żółwie się pasą, co łatwo rozpoznać po ogryzkach morskiéj trawy; do wypływających na powierzchnię wody, podpływają ostrożnie na statku.

Następnie śledzą bąbelki wychodzące z wody, jako znak najpewniejszy, że w tém miejscu żółw dyszy. Nadzwyczaj tedy ostrym i ciężkim oszczepem uderzają w ten punkt, a zręcznie rzucony oszczep przeszywa skorupę i razi ukrytego żółwia. Ponieważ zaś oszczep przymocowany jest do długiéj liny, przeto ją popuszczają, oczekując, póki żółw na wierzch wody nie wy-

płynie. Jestto ten sam sposób, którego używają przy połowie wielorybów, tylko mniéj niebezpieczny, gdyż nieprzyjaciel znacznie słabszy.

Ale ze wszystkich tych połowów, najdziwniejszy i najzręczniejszy jest ten, kiedy wprawny łowiec, upatrzywszy bystrym wzrokiem żółwia, podpływa nad niego, a następnie rzuca się w głąb ze statku, i we dwie, a najwięcéj trzy minut wypływa na wiérzch na żółwiu, powitany okrzykiem przez oczekujących na niego w łodzi towaszyszów. Sposób ten niepojęty napozór, da się łatwo wytłumaczyć, bo łowiec dawszy nurka, siada na skorupie żółwia, i chwyta go oburącz silnie za szyję, kiedy ten głowę swoję ze skorupy wychyli. Duszony żółw szuka powietrza, i wypływa jak najspieszniéj na wiérzch, a łowiec coraz tężéj go ciśnie, żółw wprawdzie miota się, ale zawsze na powierzchni; czółno z łowcami postępuje za nim, dopóki żółw nie osłabnie i nie obwiśnie na wodzie, jak spławiona kłoda; wtedy jeździec grzbietowy, zarzuca mu kulkę ze sznura na szyję, dodusza, i wskakując na czółno, wywleka swój połów.

Oprócz użytku ze skorup, oprócz pokarmu z mięsa, którém żyją wszyscy mieszkańcy morskich wybrzeży, jak np. w części świata, która zwie się Ameryką południową, a w któréj z powodu nadzwyczajnych upałów, wszystkie trawy i żywioły ziemne, powypalał skwar słońca; żółw staje się prawdziwą dla mieszkańców opatrznością. Dzieje się to tym sposobem: kiedy nadejdzie pora składania jaj przez żółwie na piaskach, wówczas te puściwszy naprzód na zwiady gromadkę, pod samą noc, tysiącami postępują za nią, wychodząc na ląd. W jednéj prawie minucie zalegają piaszczyste wybrzeże, często na milę i więcéj wzdłuż morza się ciągnące, z pośpiechem tłoczą się naprzód, tak, że chrzęst, trących się o siebie skorup, rozchodzi się daleko. Miejsca te wszystkim Indjanom dobrze już są znane. To też na pierwszy odgłos o przybyciu tych stworzeń, wielka liczba Indjan się zbiera, i gdy żółwie poskładają jaja i wrócą do morza, wtedy oni rzucają się na zakopaną zdobycz. Jedni je odgrzebują, drudzy układają w stogi, nakształt naszych z siana, a inni znoszą żłoby szczelnie pospajane, aby nie przeciekały. Po téj pierwszéj robocie zsypują stóg do stogu, do owych żłobów, obstępują i tłuką jaja, gniotąc je łopatami widlastemi na miazgę, a w końcu polawszy wodą, zostawiają działaniu słońca. Upał wyciąga cząstki olejne na powierzchnię wody, które zbierają czerpaczkami i warząchwiami, zlewają w kotły, i stawiają na łagodnym ogniu. Wkrótce z tego klaruje się najprzedniejszy oléj, przybierający kolor i płynność topionego masła, a gdy zastygnie, przekładają to w dzbany, po 60 blisko funtów w każdy. Jest to bardzo poszukiwany towar, w całéj owéj części świata, tojest w Ameryce; i po obliczeniu zużytych jaj do tego, pokazało się, że w jednem tylko miejscu, czyli na jednych wyspach, spotrzebują rocznie dwadzieścia cztery miljony jaj żółwich; a jednak żółwie co rok o właściwéj porze przybywają na to pobojowisko zniszczenia swego, i co rok składają człowiekowi tę ofiarę; bo tak są wielkie, tak mądre dzieła Opatrzności.

Możeby kto powiedział, że stworzenia te są bezrozumne, i dlatego ludzie z taką łatwością ciągną z nich korzyści. Następująca wszakże okoliczność nie dozwala takiego przypuszczenia. Doświadczenie bowiem przekonało, że żółw porwany z miejsca, gdzie zniósł jaja, i przeniesiony na okręt, a potem po odpłynięciu na kilkaset mil od miejsca porwania, wrzucony w morze, wraca prosto tam, gdzie złożył swój płód, chociaż nie posiada żadnych takich sposobów, jakich człowiek używa, dla kierowania się po przestrzeniach morza. Dowód najlepszy, jak wielkim instynktem obdarzone są i te także stworzenia. Ale Bóg powiedział: „macie służyć na pożytek tym, na których ziemi, skwary słońca mego powypalają i trawy i liście; macie służyć na posiłek i użytek ludziom.“ I odtąd też żółw, pomimo najdoskonalszego instynktu swojego, ciągnie corocznie z głębi wód na ląd, aby wypełnić przeznaczenia wyroki, i przynieść człowiekowi w darze to, co mu najdroższego; nietylko ku samemu pożytkowi ludzi, ale ku tem większemu przekonaniu ich o mądrości dzieł Tego, który i o najmniejszym nie zapomniał robaczku. Z żółwia oprócz smacznych do jedzenia jaj, oprócz, jak powiedzieliśmy, wybornego tłuszczu czyli oleju, daléj mięsiwa, pożywnéj z niego zupy, mamy jeszcze ze skorupy jego tysiączne wyroby, czyli rzeźby, jak paczki, tabakiery, trzonki, różne osady, oraz najdroższe grzebienie, które u nas z niemiecka nazywamy szyldkretowemi, a w wielu nawet miejscach i czółna.

O ratowaniu utonionych.

Mając wskazać przepisy ratowania utonionych, nie od rzeczy będzie napomknąć, iż wiele jeszcze w tym względzie znajduje się zakorzenionych przesądów między ludźmi. I tak, fałszywie rozumują ci, którzy sądzą, iż przyczyną śmierci z utonienia powstałéj, jest dostanie się wody do płuc, i że tym sposobem następuje zaduszenie. Główną jéj przyczyną w tym wypadku, jedynie brak powietrza uważać należy; kropla bowiem płynu nie dostaje się do dróg oddechowych, a człowiek z przyczyny braku przystępu koniecznie do życia potrzebnego powietrza, udusić się musi. Z tego powodu, wieszanie za nogi mającego się ratować, jak to dawniéj robiono, w celu wydalenia z niego wciągniętéj wody, nietylko że jest niepotrzebném, ale nawet i niebezpieczném być może; tym bowiem sposobem sprawić tylko można tak silny napływ krwi do mózgu, że jeżeli utoniony w skutek zaduszenia się nie skończy, pewnie umrze w skutek apoplexyi.

Jeżeli zbiegiem okoliczności, zdarzy nam się kiedy wydobyć z wody tonącego, lub też utonionego, należy przedewszystkiém, przeniósłszy go w najbliższe spokojne miejsce (najlepiéj do izby ogrzanéj), zupełnie z sukien rozebrać, następnie zlekka na prawym boku położyć. Jeżeli chory bezprzytomny, przykładać do otworów nosa, flaszeczkę z kwasem siarkowym dymiącym, lub amoniakiem, a w braku tychże, z mocnym octem: nadto drażnić je chorągiewką z jakiegokolwiek pióra.

Ciało zimne, ogrzewać należy za pomocą gorących cegieł, takichże żelaz od prasowania, kamieni, lub też worków z piaskiem; prócz tego nacierać twardą szczotką. Gdy ratowany zaczyna okazywać znaki życia, tojest: jeżeli uczuwać się dają choć lekkie uderzenia serca, a chory cokolwiek jest już w stanie połykać, należy podawać mu co kilka lub kilkanaście minut, po łyżce wódki kamforowéj, wody kolońskiéj, lub rumu z dwiema częściami wody do picia zmieszanego. Tém prostém a łatwém postępowaniem, częstokroć wpierw nim wezwany lekarz przybędzie, możemy chorego do przytomności doprowadzić, i uratować mu życie.

O zamarznięciu.

Przypadki zamarznięcia ludzi, nie tak rzadko się wydarzają, jakbyśmy to sądzić mogli. Na wsiach osobliwie, w porze zimowéj dosyć często bywają wypadki, że w czasie mrozów, biedni podróżni, lub ludzie zajęci pracą pod gołem niebem, padają ofiarą tego nieszczęścia. Ileż to razy zbłąkany wędrowiec, w czasie zawieji śniegiem przysypany, znaleziony był późniéj bez najmniejszego znaku życia! Krew w stanie zdrowym obiega zarówno po całém ciele. W skutek wysokiego stopnia zimna, krzepnąc zwolna, zaczyna leniwiéj swe ruchy na obwodzie ciała odbywać. W miarę zwiększającego się i coraz bardziéj przenikającego zimna, zwłaszcza przy braku stosownych ruchów, obieg krwi w końcu tak leniwieje, iż tylko ogranicza się na sercu i większych naczyniach we wnętrzu ciała będących, a człowiek w tym stanie, najczęściéj sam o tem nie wiedząc, spokojnie, jak gdyby tylko zasypiał, ziębnąc coraz więcéj, omdlewa, stając się pastwą nieprzyjaznego wpływu. Ciało całe sztywnieje, jak gdyby z drzewa lub z lodu było utoczone; odnogi jego, to jest ręce i nogi, nabierają barwy prawie białéj; części więcéj wystające, jak palce, nos i uszy stają się prawie w pół przezroczyste, a przytém tak kruche, iż za najmniejszém uderzeniem nawet, jak gdyby z cukru, utrącone być mogą. Znalazłszy takowym dotkniętego ciosem, w téj chwili zająć się należy jego ratunkiem, tem bardziéj, iż tenże nader łatwo uskutecznić można. I tak, na miejscu zaraz przedewszystkiém należy całe ciało, począwszy od piersi, w kierunku rąk i nóg, śniegiem dobrze nacierać. Po kilku minutach, robić podobne nacierania wodą zimną, następnie przeniósłszy chorego do słabo ogrzanéj izby, takież natarcia wodą letnią, w końcu zaś wodą ogrzaną czynić. Jeżeli nie ma pod ręką śniegu, zastąpić go można kąpielą z wody zimnéj, po któréj, stopniując podobnie, jak przy nacieraniu, wsadza się zmarzniętego na kilka minut do coraz cieplejszéj, przyczém tąż wodą i twarz się zlewa. Przy dalszém ratowaniu, postępuje się podobnie, jak przy ratowaniu dotkniętych czadem, lub utonionych. Należy drażnić otwory nosa, wdychać sztucznie w płuca chorego powietrze; a jeżeli ratowany staje się ciepłym, włożyć go w łóżko nie ogrzane, nacierać ciało suchą szczotką, i czekać przybycia lekarza.

Rozmowa za Żelazną Bramą.

Jak się masz Pietrusiu? mówiła młoda kucharka Kasia do swéj przyjaciółki, z którą się w mie-

ście, za Żelazną bramą spotkała. Dawnośmy się nie widziały, gdzież teraz zostajesz, jakie pobierasz zasługi, czy dobrzy twoi państwo?

Na te pytania, Pietrusia, która wszystko zwykle robiła z zastanowieniem, odpowiedziała: tyle zadałaś mi na raz pytań, że nie wiem doprawdy, od czego zacząć odpowiedź. Krótko więc odpowiem ci na każde: naprzód, że dzięki Bogu, jak widzisz, zdrowie mi służy; potem, zostaję teraz u państwa Smigockich na Mazowieckiéj ulicy; daléj, zasług pobieram 7 talarów na kwartał, a nakoniec, państwo moi są bardzo dobrzy.

— Jak widzę—rzekła Kasia—to ty zawsze powolna, jak byłaś wtedy, kiedyśmy razem służyły, pamiętasz, u tych Państwa, na Starém mieście. Tyś tam ze dwa lata wytrzymała, a ja to ledwie się kwartału doczekałam. Byłam wtedy za młodszą, ale się przekonałam, że lepiéj być kucharką, i dlatego teraz już wszędzie jestem do kuchni.

— Ty za kucharkę?—zawołała Pietrusia,—a przecież tyś nic nie umiała?

— Nie umiałam?—rzekła—tom się nauczyła. O już co prawda, to w pierwszym roku doskonale karmiłam swoje państwo: przydymiłam, przesoliłam, niedogotowałam; wszystkiego było, ale państwo to znosili, pani uczyła, i tak wyszłam na kucharkę, a potem już u téj pani służyć nie chciałam, bo to i zasługi małe, i dochodu żadnego.

— Dochodu?—zapytała Pietrusia zdziwiona, jakiego dochodu?

— Jużci koszykowego; wszak to co dzień tylko 10 groszy więcéj policzyć, niż się wydało, to będzie na miesiąc 10 złotych, a na kwartał 5 talarów.

— Nie rozumiem—odrzekła znowu Pietrusia, jakże podać, żeś wydała więcéj, kiedyś ty wydała mniéj, wszak to prosta kradzież?

— Kradzież! jaka kradzież?—z oburzeniem odezwała się Kasia—to dochód koszykowy.

— A któż ci dał prawo do tego dochodu? wszak robisz to w sekrecie, a czego nie robisz jawnie, to jest złém; powtóre, musisz kłamać, a kłamstwo jest grzechem; potrzecie, pieniądze te nie są twoje, zabierasz cudzą własność, a to nazywa się kradzieżą. O! sprawiedliwie mówi przysłowie, że kto łże, ten i kradnie.

— No, no, już ty z morałami wystąpiłaś; ot, powiedz mi lepiéj, czy nie idziesz za mąż? bo co ja, to miałam z dziesięciu starających się, i kilku przyrzekłam, ale potem, jakby ich kto oparzył, powynosili się jeden za drugim.

— Ja—odpowiedziała Pietrusia—miałam tylko jednego, i za tego idę, po Wielkiéj Nocy już i ślub mój u świętego Krzyża.

— A, to winszuję ci; ale powiedz, maszże ty garderobę, pościel, sprzęty!

— Garderobę mam, pościel także, a sprzęty, to się sprawią, uzbierałam z zasług tyle, że mi przy łasce Bożéj wystarczy.

— Bo co mnie, rzekła Kasia, to jakoś nic się nie wiedzie. Sprawiłam sobie suknię przed kilku tygodniami, w ostatnią sobotę mieliśmy wieczór składkowy, po pół rubla od osoby, bawiłam się wybornie, ale cóż? suknia na nic, oberwali mi ją do szczętu, a stanik tak zatłuścili, że już chyba się nie zda.

— Ha, widać byłaś w porządném towarzystwie—powié Pietrusia.

— W bardzo porządném; było tam kilku panów urzędników, wszyscy we frakach i w białych rękawiczkach, tylko to widzisz, między nimi byli i inni, tak... różni... ogrodniczki z podla, więc ci... dobrze się bawiłam, ale zawsze z pięć talarów mię to kosztowało.

— To podobno cały dochód koszykowy, jak się zdaje?

— Tak, to też muszę teraz odbijać.

— Na kim?—zapytała Pietrusia.

Kasia się zarumieniła i nic nie powiedziała, a po chwili namysłu znowu zagadła Pietrusię: powiedz mi moja kochana, jakto ty robisz, że tak ci się jakoś szczęści?

— Nie kradnę—odpowié Pietrusia—to i Pan Bóg błogosławi.

— Ale bo ty ciągle żartujesz, powiedz mi, co ja mam robić, żeby mi to jakoś szło sporzéj?

— Nie kradnij — powiedziała Pietrusia, zawróciła się w inną stronę i odeszła. Kasia postała chwil kilka, pomyślała, i powoli zwróciła się ku domowi.

Podobno, że tego dnia państwo bardzo się cieszyli, że w mieście o kilka groszy wszystko staniało. Pietrusia, zdaje się, swoją radą niemało przyczyniła się do tego.

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 15 (27) lutego 1856 r. — Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*